



Stefania Anna Hayward

część III z IV

Sygnatura notacji: **N0516**

Data urodzenia: **20.06.1972 r.**

Data nagrania: **18.08.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Karmel pw. Najświętszej Krwi, Dachau, Niemcy**

Prowadząca/y rozmowę: **Dorota Grzechocińska**

Czas nagrania: **część I: 71 min, część II: 61 min, część III: 40 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 51 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Anna Hayward: To powiedzmy sobie teraz o tej jednej z największych tragedii w obozie, a mianowicie o tym wybuchu epidemii już pod koniec funkcjonowania, właściwie pod koniec wojny, na przełomie 1944/45 w Dachau wybuchła epidemia tyfusu, która pochłonęła ponad 17 tys. istnień ludzkich. Tak, zmarło w tych miesiącach wszystkie ofiary akurat na tyfus, ale możemy przypuszczać, że większość. – I mówiliśmy o tej roli księży, o szczególnej roli księdza Stefana Frelichowskiego w udzielaniu pomocy właściwie w zainicjowaniu tej akcji pomocy dla zarażonych.

Dorota Grzechocińska: Ale jak to wszystko wyglądało? Jak wyglądał wtedy obóz podczas tej epidemii? Jak w ogóle, czy była jakakolwiek opieka nad tymi chorymi?

Anna Hayward: To znaczy nad tymi chorymi, którzy byli zamknięci w tych tak zwanych barakach tyfusowych albo inwalidzkich, albo kwarantanny, albo odizolowanych to wszystko ma się na myśli właśnie tę izolację baraków, gdzie byli zgromadzeni chorzy na tyfus. I tam nie było żadnej opieki lekarskiej, a nie pielęgnarskiej. Tam po prostu ludzie byli pozostawieni samym sobie. A dlatego, że tyfusowi towarzyszyła jeszcze biegunka krwawa, głodowa i wszystkie inne zjawiska nieprzyjemne. Nie było komu to wszystko wyczyścić. To wszystko trzeba sobie wyobrazić. Prycze były pozbawione już legowiska, sienników, były pozbawione jakiegokolwiek pościeli, bo to wszystko zostało zabrudzone, wyrzucono z baraków, spalono i ludzie leżały na 3-piętrowych pryzkach. I to wszystko spadało z górnych na dół i ludzie byli zabrudzeni, do picia nie miał kto dać, bo personel w takich blokach też pomagał. Dlatego, że ten tyfus przerzuczał się oczywiście przez wszy. 2 tygodnie mniej więcej trwało ten okres inkubacyjny po ugryzieniu. I dlatego na przykład, kiedy księża-ochotnicy szli, oni wiedzieli, że mają 2 tygodnie tej posługi, a każdy wiedział, że zachoruje

najwcześniej, to nawet po trzech dniach zdarzało się, bo to bardzo szybko, ale po tygodniu, po dwóch, najpóźniej po trzech człowiek już nie mógł działać, musiał zostać albo uratowany, albo umierał. Ponieważ w tych barakach nikogo nie ratowano, to ludzie tam umierali masowo. Nie było komu wyciągać tych zmarłych. Często z pryczy, z trzeciego piętra ludzie zatrzymywali też często takich nieboszczyków, dlatego, że na ich konto otrzymywali jakiś marny kawałek chleba, który był dla nich... oznaczał przeżycie. Dlatego trzymali często tych trupów po dwa, trzy dni przy sobie na pryczy po prostu spali jako na poduszce. To już był taki stan, który teraz sobie nie możemy wyobrazić. Zupełnie obojętnie istniało się obok trupa, wśród nich żyło, jadło i spało. I właśnie ta zaraza panoszyła się w tych blokach niepowstrzymywalnie. I już zaczęło się rozchodzić na pozostały obóz, na właściwy rewir chorych, gdzie działali lekarze, więźniowie, pielęgniarze, też więźniowie. Wielu, trzeba zauważyć, że wielu uciekło z takich pielęgniarzy, którzy w poprzednich latach byli właśnie tymi wielkimi panami w rewirze. Ale też wielu doszło na rewir. Z lekarzy więźniów, którzy byli więźniami w obozie, ale w poprzednich latach nie mieli prawa pracować w rewirze, bo lekarzy-więźniów nie przyjmowano do rewiru, a masowo doszli tam przeważnie lekarze francuscy. Właśnie w czasie tej epidemii tyfusu, żeby pracować po prostu jako zwykli pielęgniarze, dlatego, że nie było żadnych środków. Lekarze usiłowali gołymi rękami stawiać jakikolwiek opór. Na przykład w tych barakach zakażonych jedyne taka pomoc wyglądała tak, że personel blokowy jak nie wymarł, a jak wymarł, bo tam księża, którzy przyszli, usiłowali tych chorych porozdzielać według ciężkości, zachorowalności. Tam były cztery izby w każdym baraku. Na pierwszą izbę gromadzili wszystkich tak zwanych „zdrowych”, na drugą lżej chorych, na trzeciej ciężiej chorych i na Czwartej już byli sami umierający. I tak usiłowali zrobić, żeby zrobić jakiś porządek, przynajmniej w tym kłębowskiu, które leżało na tych pryczach. Trzeba powiedzieć, że prycze były w końcu w tym ostatnim roku istnienia obozu już nie porozdzielane nawet jak w poprzednich latach, takimi przegródkami. Każde miejsce do spania, na którym i tak spało dwie, trzy osoby, a tutaj po prostu była taka Liegefläche, płaszczyzna do leżenia to po prostu taki długi rząd, niczym nieprzedzielany i ludzie tam leżeli gromadnie, po prostu pokotem. Wśród nich trupy i żyjący. I to wszystko, ci księża, Wicek też tak działał. Po prostu na tych płaszczyznach do leżenia niekończących się, usianych ciałami na czworakach posuwali się wśród tego kłębowiska ciał, spotykając się z człowiekiem, który chciał wypowiedać się, bo księża też nie znali języków. Tam było wszystko, tam była Liga Narodów, tam były wszystkie języki pomieszane. Pokazywali krzyżyk, bo przeważnie każdy taki ksiądz miał ze sobą krzyżyk gdzieś tam zorganizowany w obozie – malutki. Wtedy człowiek wiedział, że to jest ksiądz, ktoś chce wypowiedać. Zatrzymywał się przy takim człowieku na 10–15 minut, wysłuchiwał spowiedzi, udzielał rozgrzeszenia. Przy tym nie zawsze się Rozumieli. Czasem po prostu chory powtarzał za księdzem formułę żalu, a czasem po prostu całował ten krzyż. Tego już wystarczało i później ksiądz czołgał się na czworakach do następnego chorego. Często też jakiś chory, wiedząc, że gdzieś jest ktoś, kto chce wypowiedać się, woła o księdza do takiego. I właśnie oni posuwali się całymi dniami po tych pryczach i to wszystko było okryte wszami. Po prostu z 200 siedziało na jednym takim chorym i nie było żadnej możliwości. Kiedy Wicek to Zaczynał, on był w ogóle w żaden sposób nie mógł się chronić przeciwko temu, kiedy to ta jego akcja potajemna się zaczynała. Jediną jego ochroną była, jak on już wychodził z takiego baraku, on przeglądał wszystko swoje ubrania, bieliznę, bo wszy bardzo lubiły w szwach się chować. To trzeba było wszystko oczyścić, żeby po prostu nie przynieść do kolegów, bo u siebie w baraku on na takiej samej płaszczyźnie do leżenia spał wśród swoich kolegów, kapłanów. Trzeba było, ponieważ za nich odpowiadał, tak się chronił. A później jak już poszli księża tam, to dostali, zorganizowali sobie kombinezony, zorganizowali sobie środek, taki lizol, który jedyny środek, który był w obozie odkażający. Zlewali po prostu wszystko razem z czepkiem i szli po prostu z tym lizolem tam. Ale to też nie chroniło za

bardzo przed tym wszami. W ten sposób postępowali. Na rewirze chorych oczywiście ci lekarze działali przeważnie, ponieważ nie było leków, robili transfuzję krwi od tych nielicznych, którzy już wyzdrowieli. I też leki przysyłały tylko rodziny w paczkach. Rewir zrobił taką akcję, że do obozu podano ogłoszenie kto może pisać do rodzin, żeby przesłali leki. Ale nie wszyscy już mogli, bo fronty, to zwężało się dookoła. I na przykład Wicek pisał do matki cały czas, że potrzebuje taki czy inny lek, póki mogła przesyłała, ale potem już urwało się połączenie. I tutaj dużo, dużo niemieccy księża, bo u nich najpóźniej skończyło się to dostarczenie paczek z Niemiec. Z terenów wyzwolanych już nie można było przysyłać żadnych paczek, ale wszystkie te leki, które dostały, doszły w paczkach. To wszystko szło do rewiru, do tych baraków, tyfusowych. Nie było żadnych leków, więc Wicek chodził tam i z powrotem. On zafatował leki, jakie mógł tam przynieść do tych chorych. Ale to oczywiście była wszystko kropla na gorącym Kamieniu, nie. To mało ludzi udało się w ten sposób uratować. –

Dorota Grzechocińska: Wicek kiedy zachorował, kiedy się zaraził?

Anna Hayward: Więc zaraził się w początku lutego, bo pozostało wspomnienie z 6 lutego jednego z księży, których w tym czasie Wicek zaprowadził do tej izolacji. Bo Wicek z ramienia tej szrajbsztuby już wodził tam grupkami do poszczególnych bloków tych księży. To było po 2, 3, 4 osoby, zależnie ile stanowisk była do obsadzenia na tamtym czy innym bloku, na której izbie brakowało izbowego. I Wicek 6 lutego zaprowadzał jedną taką grupę, miał z nimi tam wejść, wprowadzić ich w pracę, ale zaczął się skarżyć, że bardzo go boli głowa i że źle się czuje, że nie może z nimi wejść. Powiedział, że jak mi się polepszy, to przyjdę do was i już nigdy nie przyszedł. I przez trzy dni jeszcze leżał w swoim bloku 28 na 3 piętrze. Usiłowano go tam po prostu wypielegnować, ale był już mało przytomny i nieprzytomny przeważnie. I kiedy już zauważył sam, że... Bo na rewir bał się człowiek iść, bo tam miał złą sławę i koledzy nie chcieli go tam oddawać, widocznie usiłowali wypielegnować, ale po trzech dniach już zobaczyli, że nie da się i Wicek sam poprosił, żeby go tam odprowadzono. Więc to 9 albo 10 lutego musiał dostać się na ten rewir. Właśnie w przypadku Wicka nie zachowały się takie dokumenty, z których można by to wyczytać w przypadku innych księży. Czasami są dzień przyjęcia na rewir. – Wiemy, że ksiądz Frelichowski właściwie ten tyfus zwalczył. – Tak, to znaczy chodzi, że wielu nie wytrzymało tego kryzysu, tego szczytu tyfusu. I Frelichowski już miał to poza sobą. Tylko, bo ten szczyt następował gdzieś tak trzy dni po, a Frelichowski zanim zmarł, to około dwóch tygodni był w rewirze, czyli już ten kryzys musiał minąć. Tylko że on dostał zapalenia płuc, a ten tyfus miał taką swoistość, że on najbardziej atakował płuca i jak już do tego jakieś inne choroby doszły, to już trudno było to przezwyciężyć, nawet gdy dawało się te bardzo, bardzo rzadkie zastrzyki, które tam mieli w rewirze przemycone z zewnątrz. Usiłowano właśnie, jemu też dawano zastrzyki, bo on miał tych wszystkich młodych przyjaciół w rewirze, tych wszystkich pielęgniarzy, którzy za niego do ognia i wody wszystko byli gotowi oddać. Tylko, że nie dali rady, bo on miał organizm bardzo wyniszczony, dlatego, że on przez pięć lat w obozach cały czas strasznie chorował. On się nie szczędził i on przeszedł wszystkie możliwe choroby, które w tych latach można było przejść. Organizm miał już tak wyniszczony, że po prostu nie dał rady temu zapaleniu płuc. Zapalenie płuc zdecydowało o tym, że już nie dało się go uratować. – I ksiądz Frelichowski Zmarł między czwartą a piątą rano 22 lutego. – Tak, około 5 rano, 22 lutego. To jest jednoznacznie wypisane w dokumencie obozowym, który powstawał na bieżąco przy stole sekcyjnym, gdzie sekcjonowano zwłoki i wpisywano według numerów. Jedne zwłoki, poddano sekcji, odkładano, następnie i to wszystko wpisywano do zeszytu. I jego nazwisko jest wpisane w dniu 22 lutego. – Te małe szare książeczki, czyli te księgi kostnicy, to jest bardzo cenny

materiał. Zachowało się ich kilka. – Zachowały się trzy. Zachowały się trzy. Było 12, dlatego, że dwanaście lat istniał Dachau jako obóz i z każdego roku było po jednej. Potem, w kwietniu naczelny lekarz SS, kiedy SS już paliło wszystkie dokumenty, jak wiadomo, zacierali ślady. Szczególnie im zależało na tym, żeby spalić wszystko, co dotyczyło chorych i zmarłych w obozie, żeby po prostu zatrzeć te liczby zmarłych swoich ofiar. Niektóre dokumenty SS kazało palić więźniom funkcyjnym w tych czy innych biurach, którzy tam pracowali. Ale właśnie te dokumenty dotyczące zmarłych naczelny lekarz SS sam własnoręcznie wrzucił do ognia w łaźni rewiru. Ale z tych zeszytów trzy udało się uratować czeskiemu więźniowi – Bohumir Opaczyński się nazywał. On pracował w trupiarni właśnie przy stole sekcyjnym i był bardzo dzielnym człowiekiem. On bardzo dużo dobrego zrobił i potrafił się w sytuacji ekstremalnej i szybko zadziałać, zorientować, czy on nie tracił zimnej krwi i uratował trzy zeszyty, w tym ten ostatni z roku epidemii z [19]45 roku. Jest zupełnie zapisany, każda strona, niemal do milimetra. I najwięcej nazwisk tam i to jest najważniejszy dokument, bo tam w sumie widać, jak wygląda ta epidemia, jak pęczniały te zeszyty, jak narastały te liczby codzienne zmarłych, jak po prostu te wszystkie zwłoki, które widzimy na zdjęciach po wyzwoleniu obozu, jak to wszystko urastało, jak to trupiarnia, która miała najpierw 20 zwłok dziennie do sekcji, później 40, jak potem to za setkę przywalify, jak oni nie dawali temu rady. Tak że to wszystko jest na szczęście, zachowało się w tym jednym zeszycie ostatnim.

Dorota Grzechocińska: Mnie zastanawia co to za jakaś przedziwna, niezrozumiała dla mnie zupełnie logika wykonywania sekcji zwłok w takich ilościach, kiedy ci więźniowie wiadomo było, że ginęli z powodu tyfusu. Dlaczego była taka decyzja tak rozumiem władz obozowych, żeby przeprowadzać tak dużo tych sekcji zwłok? Czemu to służyło?

Anna Hayward: Nie, to nie była decyzja władz obozowych. Właśnie kierownikiem prosektorium był czeski chirurg Franciszek Blacha, członek czeskiego Sokolstwa, którego członkowie w kacetach, jak wiadomo, zachowali się bardzo odważnie. I on to był człowiek niesamowity dla obozu Dachau, czego on potrafił dokonać. I on dosyć wcześnie dostał się na rewir jako jeden, jako pierwszy lekarz w ogóle więzień był w rewirze, ale potem, gdy odmówił. Przeprowadzenie operacji na dwudziestu zdrowych więźniach, jak mu nakazano, wyrzucili go z rewiru i kazali mu pracować w trupiarni. Najpierw kazali mu zwozić zwłoki z całego obozu, zbierać. I on w tym wózku, gdzie woził te zwłoki, leki, które aplikował w całym obozie i jedzenie, wszystko pod tym zwłokami rozwoził po obozie. Bardzo szybko zrobił się jednym z najbardziej popularnych ludzi w obozie i po tym, jak on zajął stanowisko kierownika prosektorium, stało się to z końcem [19]42, początkiem 43 roku. Właśnie zaczął kierować tym prosektorium. Wcześniej w ogóle nie robiono sekcji wszystkim, którzy zmarli, tylko tak... Bo w prosektorium pracował szofer, pracował przedstawiciel handlowy. To byli tacy poplecznicy SS, którzy po prostu robili to, żeby stwarzać wrażenie. Wszystko pięknie wpisywali, a doktor Blacha był pierwszy, który zaczął robić sekcje ze względów medycznych, po prostu żeby utrwalić te zbrodnie. On i Opaczyński prowadzili tam też swoje własne statystyki, swoje własne zapisy, wpisy, przechowywali te zeszyty pomiędzy trupami. To oczywiście wszystko groziło śmiercią, bo nic nie wolno było wpisywać, a już tym bardziej tam w prosektorium. I nawet często zwłoki, które przywożono z wyraźnym były, że tak powiem, Etykietowane. Była karteczka po prostu „nie robić sekcji”, bo był z jakiegoś eksperymentu pseudo-medycznego dostarczony, albo jakiegoś morderstwa albo coś. On robił sekcję takich zwłok, żeby po prostu utrwalić to. I później jak to wszystko narastało. Oczywiście nie wszystkich tych, którzy umierali w barakach tyfusowych, tych izolowanych ich prosto spod baraków, gdzie ich wyrzucano z baraku, zwożono wozem na teren krematorium. Co nie oznacza, że ich tam palono, bo krema-

torium już nie nadążało i wywożono z tamtego terenu dalej na Leitenberg, gdzie ich chowano we wspólnych grobach. Ale tych, którzy umierali w rewirze, w samym, wynoszono wszystkich do trupiarni i tam pracownicy trupiarni usiłowali tyle, ile mogli. Jednak chodziło im o dokumentowanie tych zbrodni. Po prostu, żeby pokazać, w jakim stanie. I doktor Blacha był rzeczywiście nie tylko świadkiem w procesie załogi Dachau, czy to w dachauskich procesach, też w norymberskim procesie, mimo że musiał swoje notatki później wszystkie spalić, zniszczyć ze względów bezpieczeństwa własnego. Ale w pamięci to wszystko zachował.

Dorota Grzechocińska: A ciało księdza Frelichowskiego zostało poddane Sekcji, pomimo że nie zmarł w rewirze.

Anna Hayward: Zmarł w rewirze. Zmarł w rewirze, bo właśnie jak on był tutaj w baraku trzy dni i później uznano, że nie dadzą rady go rady wypielęgnować poza rewirem, dostarczyli go do rewiru i on był w rewirze, on zmarł w siódmym bloku rewirowym. To był blok zakaźny i w siódmym bloku zmarło dużo polskich świętych. W ogóle świętych, bo na tyfus umierano przeważnie tam w ostatnie zimy i tam dużo. Zresztą biskup Kozal też tam został zabity śmiertelnie zastrzykiem, ale to były inne czasy.

Dorota Grzechocińska: I w trakcie czy zanim, czy po sekcji, kiedy udało się? zrobić maskę pośmiertną?

Anna Hayward: Już po sekcji jego i jeszcze dwóch innych księży, też z ochotników, których po prostu chcieli pożegnać robiąc wystawienie pożegnalne zwłok. Tak żegnano w ostatnich miesiącach niektórych, których bardzo żałowano i to wbrew zakazowi SS robiono korzystając z takiego nieładu, który już był w obozie, że nie dało się dopilnować wszystkiego. Tam zrobili, tam była pewna szopa, która była normalnie składnicą trumien, ale tam to wystawiano w tajemnicy. Więc kiedy zdecydowano tych trzech księży w tym dniu zmarłych i poddanych sekcji wystawić, to ich nie dołączono do tych gromad trupów, których przygotowywano do wywiezienia, a zostawiono po prostu w kostnicy. I w tym czasie Stanisław Bieńka właśnie ten bardzo bliski przyjaciel Wicka, zrobił tę maskę pośmiertną i wyciął trzy kosteczki z palców, żeby stanowiły relikwie, bo zdawał sobie sprawę, jak i większość więźniów, że to jest człowiek święty i po prostu chcieli coś zachować, coś z niego, żeby pozostało z nimi. Oni nie mogli się pogodzić. Ciekawe, że w obozie, gdzie odchodziło codziennie tyle ludzi, że już nikt nie wiedział, kto odszedł, kto jeszcze żyje, nie mogli się pogodzić ze śmiercią tego człowieka, swego przyjaciela.

Dorota Grzechocińska: I te relikwie się zachowały?

Anna Hayward: Tak zachowały się, dzisiaj mamy te relikwie. Jedna jest w masce pośmiertnej wmurowana. Ją oczywiście nie rozcinano tę maskę, tylko zrobiono jej prześwietlenie i widziano tam tę kosteczkę wmurowaną przez Bieńkę. Drugą kosteczkę, którą on zrobił, taki kawałek kreda po prostu. Jak taka kostka, to rozcięto w maju 1999 roku przed beatyfikacją i nawet te prochy, które powstały podczas rozcięcia zebrano i z tego robią teraz relikwie dzisiaj, które mamy w różnych parafiach, seminariach czy gdziekolwiek, w rodzinie Wicka. Od harcerzy dostałam po całym świecie. To takie oczywiście małe cząsteczki, bo ileś tam można z tego zrobić, z tego jednego. Tzn. opuszkowe,

kostki z palców. I trzecia jeszcze była relikwia, którą miał u siebie ksiądz Dobromir Ziemiak z Inowrocławia. Ona była mniej znana, nawet często o niej się nie mówi, bo nie wszyscy słyszeli, że istnieje. Ale jak ksiądz Ziarniak zmarł, to znajdowała się w Inowrocławiu w kościele i dwa lata temu, chyba podczas uroczystości harcerskich, wprowadzono ją uroczystie z wielkim relikwiarzem już do Bazyliki Mniejszej w Inowrocławiu.

Dorota Grzechocińska: A ten taki zwyczaj wyjątkowy i nie wiem, czy wiele osób wie, że taki zwyczaj miał miejsce wystawiania zwłok, żeby uczcić. W Dachau często się to zdarzało?

Anna Hayward: To znaczy często to nie mogło się zdarzać, bo to było zawsze zabronione bardzo. Przedsięwzięcia Rzykowne, to robiono tylko dla osób, których po prostu nie mogli sobie odpuścić, żeby to takie wrzucono na kupę i wywieziono razem ze wszystkimi, którym bardzo dużo zawdzięczano w obozie. I robiono to przeważnie oczywiście w tym czasie, już w czterdziestym piątym roku, kiedy już to wszystko wyszło spod kontroli SS, ale bali się do ostatniej chwili, bo na przykład ostatnie wystawienia znane mi na dzisiaj – szesnaście ja naliczyłam, było już 17. kwietnia, czyli 10–12 dni przed wyzwoleniem. SS już w ogóle prawie nie było w obozie. Mimo to więźniowie składali się tam potajemnie, żeby się pożegnać z tym więźniom, bo to zawsze groziło bardzo wielkim niebezpieczeństwem. Taka samowola, żeby robić to przeciwko temu zakazowi SS.

Dorota Grzechocińska: Co się stało z ciałem księdza Frelichowskiego?

Anna Hayward: Z Ciałem. Z ciałem mogło stać się dwie rzeczy, bo według tradycji rodzinnej, którą przekazali księża, ciało spalono. Ale to nie jest jedyna możliwość, dlatego że wiadomo, że co najmniej od połowy. lutego [19]45 roku, a może nawet jeszcze wcześniej krematorium zabrakło możliwości palenia zwłok dlatego, że wyszedł węgiel i nie było takich czasach, nie było skąd go wziąć. I dlatego SS było zmuszone założyć cmentarz na Leidenbergu w dwóch kilometrach od obozu, gdzie po prostu zawożono komando więźniów, które tam kopało rowy. Zdążono osiem takich rowów zapełnić. W czasie istnienia obozu zwożono najpierw Wszystkich, wszystkie zwłoki z obozu wywożono takim wozem, który krążył po obozie już cały czas w ostatnich miesiącach, dlatego, że za dużo było tych zwłok. Wywożono na teren krematorium. Tam była składnica taka. Stamtąd zabierano, dopiero potem wieziono na Leitenberg. Dlatego wszyscy więźniowie w obozie mogli sądzić, że którzy nie byli poświęceni, że wywożą do krematorium, no to spalają. Ale bardzo mało spalono, znikomą ilość, przeważnie tych, których trzeba było ukryć, że zamordowano jakieś osoby np. znane w świecie, których mogły potem szukać jak francuskie general czy zamachowiec na Hitlera Elsner, którego tutaj trzymano do ostatniej chwili i potem zamordowano na rozkaz Hitlera. Ich zwłoki na pewno palono, ale to były pojedyncze spalania. Dlatego ja zawsze próbowałam znaleźć dowody czy Wicek został pochowany w tym grobie, tam wspólnym na Leitenberg, bo to jest możliwe. Ale że koledzy twierdząc, że przekupiono kapo krematorium, a w tym czasie też przekupiono go ze strony księży niemieckich, żeby spalił tego drugiego kapłana, którego wystawiono razem z Wickiem niemieckiego księdza Richarda Henkesa, który dzisiaj też jest błogosławionym, też w barakach tyfusowych działał. Więc razem wieziono ich do krematorium. To jest możliwe, że razem spalono, bo niemieccy kapłani żądali, żeby im prochy dostarczono, bo oni chcieli przerzucić prochy z obozu, żeby stały się potem godnie pochowane w rodzinie, w zgromadzeniu. Nie wiem, czy wierzyć kapo krematorium, czy nie, bo kapo ten przeżył. Później został ujęty przez Amerykanów i jako zbrodniarz musiał odpowiadać wobec sądu wojskowego amerykańskiego. Został nawet skazany

na śmierć razem z załogą esesmańską Dachau, ale później ułaskawiony. On dużo współpracował z tym sądem, dużo, dużo dał świadectw, wypowiedzi. Więc konkretnie o Wicku, czy o ojcu Henkesie nie mówił. O niektórych innych bardziej znanych osobistości mówił, że ich spalił. Więc istnieje taka możliwość i taka możliwość. To zależy. Nie wiem. Ja chodząc po Leitenbergu czasami wcześniej szczególnie chodziłam. Ja mam tam jakieś bardzo dobre poczucia na tej górze zmarłych, jak nazywali więźniowie ją, no bo Berg to jest góra. Góra zmarłych. Więc chodziłam, pytałam, Wicuś czy tu jesteś? Mam tam takie jakieś bardzo spokojne, dobre poczucie. I wiszą tam tabliczki na murze od rodzin, którzy są pewni na przykład, że ich zmarły leży tam, bo później prowadzono ekshumację. Niektórych nawet rozpoznano i oddano rodzinom, ale to przeważnie byli Holendrzy czy Belgowie czy Francuzi, bo to oni rozpoczęli tam tę ekshumację dlatego, że tamten cmentarz był w stanie zupełnie niegodnym. Oni zaalarmowali po prostu światową społeczność, żeby to doprowadzić do godnego stanu i robili tam te ekshumacje. Wszystkie te rowy wykopali, te zwłoki, ułożyli po prostu uszeregowali, no i wiszą tam te tabliczki. Myślę, że nie zaszkodzi tam powiesić tabliczkę dla Wicka, bo na przykład wisi tabliczka jednego Włocha, który dokładnie w tym samym dniu zmarł, dokładnie w tym samym dniu poddany sekcji razem z Wickiem. Wszystko też napisane jest, że 23. W księgach sekcyjnych też 22. No wisi tam tabliczka. Nie wiem, czy rodzina jest pewna, że on tam leży, ale jak jest miejsce to czemu nie zawiesić tabliczkę. – Z księdzem Frelichowskim podobnie było z datą zgonu, że ciągle jest to przesunięcie o jeden dzień. – Ciągle jest u wszystkich, bo w tym czasie nie dało się po prostu nadążyć z ilością zmarłych. Jak w jednym dniu registratura trupiarni dostawała meldunki na 240 zmarłych, to nie dawała radę wszystkich opisać w tym samym dniu. A dodatkowo jeszcze to przesunięcie dokonane przez trupiarnię w celu wystawienie. To zawsze tak robiono wszystkich tych wystawionych. Jest to przesunięcie, a to wszystko zostało wpisane do ksiąg sekcyjnych. – Różnica jest tego jednego dnia między księgą kostnicy a Księgą zmarłych. – Tak, jest ta różnica, zawsze występuje. Sprawdzałam zawsze kto zmarł. Wszyscy, na przykład kto w księgach zmarłych jest wpisany 22 lutego. W kostnicy, w księgach sekcyjnych, kto w Księgach Zmarłych registratury wszyscy zostali zarejestrowani 23-go. I tak każdy dzień jest to przesunięcie o jeden dzień, bo w registraturze pracowało tylko dwóch więźniów. Dwóch. Jak oni mieli codziennie ponad 200 zwłok zarejestrować? Po prostu fizycznie nie dawali sobie rady.

Dorota Grzechocińska: To jeszcze przypomnijmy, że w poczet błogostawionych ksiądz Stefan Wincenty Frelichowski został włączony 7 czerwca 1999 roku przez Jana Pawła II. Natomiast też warto powiedzieć, że 22 lutego 2003 roku został ogłoszony patronem polskich harcerzy. I to też jakby sankcjonuje tę datę Jego, czy właśnie tę datę jego śmierci, prawidłową datę.

Anna Hayward: To dlatego, że pewnie dlatego 22 lutego, że 22 lutego harcerze obchodzą święty Dzień Myśli Braterskiej i dlatego właśnie to tak zrobili. Nie ze względu na to, że Wicek zmarł, ale wyszło tak, że Wicek zmarł w dniu w dniu urodzin Naczelnego Skauta i jego małżonki. 22 lutego w Dniu Myśli Braterskiej zmarł Wicek, patron harcerzy. Więc tutaj nic dodać, nic ująć.

Dorota Grzechocińska: No to długa bardzo opowieść, za którą bardzo dziękuję, bo wiele kosztowała wysiłku. Ale jeszcze takie ostatnie pytanie. Takie pytanie, które jest, które pada, a właściwie które jest na początku książki. Dlaczego trzeba pamiętać?

Anna Hayward: Pamiętać trzeba, bo jesteśmy winni tego nie tylko tym, którzy odeszli i prosili o to swoich kolegów, żeby opowiadali, żeby nigdy o tym nie zapomniano. I ci koledzy przekazali później to nam. Teraz jest to nasz obowiązek następnych pokoleń, żeby oni też nie zapomnieli o tym, o co ci ludzie prosili. Ale to jest ważne też dla nas, bo teraz na przykład mam wrażenie, że czegoś nie dodaliśmy, czegoś nie dopięliśmy, nie doopowiadaliśmy. Jeżeli teraz jest możliwe to, co teraz przeżywamy, to co się dzieje? Taka straszna wojna. W czym jest moja wina? Co ja nie dodałam, co ja nie powiedziałam z siebie? Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego nie potrafiliśmy tego powstrzymać? Dlatego, że zapomnieliśmy. Dlatego, że niedokładnie opowiadaliśmy. Nie donieśliśmy to do ludzi. Bo jeden z księży niemieckich, którzy tu byli więzieni, powiedział bardzo, bardzo trafne słowa: „W obozach koncentracyjnych narodził się duch, który powinien być podstawą do odbudowania Niemiec i całej Europy”. Więc niestety ten duch został przez nas gdzieś stracony, gdzieś tam zapomniany. I dlatego doszliśmy teraz do tego, do czego doszliśmy. Uważam, że tak, bo zapomnieliśmy. Musimy teraz się opamiętać, musimy prosić ich o pomoc, bo to nie miało się powtórzyć. I to jest teraz nasz obowiązek dbać o to wszystko.

Dorota Grzechocińska: Sostro Stefano, bardzo dziękuję za to nagranie, za to spotkanie, za tę rozmowę. Ale właśnie teraz jeszcze chciałam zapytać. Ostatnie moje pytanie, a właściwie taka prośba, bo jesteśmy w miejscu szczególnym. Klasztor jest jakby przytulony, jakby przyklejony do obozu. Jaka jest idea powstania klasztoru?

Anna Hayward: Idea była modlitwy ekspiacyjnej. Matka założycielka chciała nawet w jednym z tych baraków, który tam zniszczone, stały na terenie obozu, ale one były już zburzone. I dobrze, że tak wyszło, bo klasztor nie może stać na terenie obozu, a poza terenem tutaj modlitwy ekspiacyjne. Modlitwa za ofiary i za sprawców. Ale siostry odeszły od tego, bo mówią „jaką my możemy dokonać wynagrodzenia? Co my możemy zrobić znowu dobrze?” Nic, to po prostu. Chodzi o to, żeby modlitwa była. Za to, za świat dzisiejszy. Z tych korzeni, z których tu wyrastamy, z których wyrasta tutaj nasz klasztor, właśnie, modlimy się za pojednanie. Nie tworzymy zadośćuczynienia, bo nie możemy zadośćuczynić za to, co tu się działo. Ale możemy prosić o pojednanie, żeby no właśnie, żeby pamiętano i żeby to się nie powtarzało i żeby ludzie, którzy tu przychodzili, oni szukają właśnie jak gdyby... Często nam mówią, „gdyby tu wszystko kończyło się tylko tym obozem i tym murem, to my byśmy nie wytrzymali. A to możemy wejść tutaj do kaplicy, usiąść i jakoś to w sobie przepracować”. Jak bardzo trudno znieść, to porozmawiać z jedną siostrą jakąś. I to, że tu jest modląca się wspólnota, to bardzo dużo daje też ludziom, którzy tutaj przychodzą. I jesteśmy nie tylko dla tych, którzy tam zginęli i leżą za płotem, ale też dla tych, którzy dzisiaj do nich tutaj dzisiaj przyjeżdżają z całego świata.